

Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka

(I)

1945

Październik

Był w naszej jednostce niejaki kpr. Chruścik. Artysta był z niego nie lada, choć z zawodu był tylko tramwajarzem. On poddał myśl, by zorganizować objazdowy zespół artystyczny z odpowiednim programem dla wojska i dla cywilów. Ci ostatni spożywać mieli przygotowaną przez nas strawę duchową odpłatnie, a uzyskana mamona miała pójść na zakup dla jednostki instrumentów muzycznych, sprzętu sportowego, świetlicowego itp. Myśl była dobra i zacząłem przyoblekać ją w ciało. Artystów typu Chruścika nie brakło i wkrótce kilkunastoosobowy zespół wraz z odpowiednimi wariantami programu był gotów. Gorzej było z akceptacją naszej idei przez naczelstwo, ale i to się, nie bez trudu, załatwiło.

Sprawy organizacyjne wziął na siebie sierż. Jodłowski, kierownictwo literackie jak i całość – ja, a Chruścik realizację programu artystycznego. Załatwiliśmy wszystko co trzeba i jazda w teren. W ostatnim momencie wydział polityczno-wychowawczy pułku dał nam „anioła-stróża” w osobie ppor. Dąbka. On miał nadzorować naszą działalność, a przede wszystkim jej materialne owoce. Był to cios w naszą ambicję i honor tak organizatorów, jak i artystów. Rola naszego nadzorca ujawniła się zaraz przy pierwszym naszym występie w Trzebini. Dąbek położył łapę na kasie i cały jej wpływ zabrał do swojej kieszeni. Nas wzięła cholera. Nie trzeba się było porozumiewać ani układać jakiegось planu działania. Powstał on samorzutnie i samorzutnie zrealizował się, bo Chruścik i spółka to byli artyści z prawdziwego zdarzenia.

Powodzenie mieliśmy duże, bo jeszcze starożytni Rzymianie żądali igrzysk, a Polonusy też nigdy nimi nie gardzili. Nasza trupa była pierwszą w tym mieście i spragnionym rozrywki mieszkańcom podobała się bardzo. W dowód wdzięczności władze municypalne zorganizowały nam jakieś, dość zresztą skromne, przyjęcie. Pojedliśmy i trochę popiliśmy. Nasz opiekun okazał się dobrym kumplem, chętnie sięgającym po kieliszek. Dbając o naszą artystyczną kondycję ojcowie miasta Trzebini nie dali dużej ilości alkoholu, a tylko tyle, ile trzeba było na wzniesienie okolicznościowych toastów. Wystarczyło tego jednak na zaostrenie apetytów i po przyjęciu Chruścik zaczął molestować Dąbka o uzupełnienie libacji na koszt własny, czyli za część wpływów kasowych. Opiekun nawet się nie

opierał. Jednomyslność była więc całkowita.

Zabawa trwała do rana. Pokochaliśmy się i zawarli wieczystą przyjaźń. Podporucznik okazał się przemiłym chłopem i miał gest dopóty, dopóki starczyło utargu. Konsekwencje tego faktu uświadomił sobie dopiero nazajutrz, gdy zarobione pieniądze znikły bezpowrotnie. Dąbek pocieszył się, że odbijemy sobie w trakcie dalszego tournée.

– Ale chłopcy, na tym koniec i więcej chłać nie będziemy – zastrzegł.

Aby odbić stratę, podniósł ceny biletów wstępu już od następnego naszego występu w Chrzanowie. Sala była wypełniona. Fama o nas dotarła z pobliskiej Trzebini wcześniej, niż my zdążyliśmy dotrzeć. Oklaskom nie było końca. Bisowaliśmy upojeni powodzeniem, gdy na scenę wdarł się jakiś major i zaczął straszną awanturę, żądając przerwania przedstawienia i grożąc zaarrestowaniem całej trupy, co zresztą nastąpiło, gdyż myśmy się postawili. Ów major okazał się komendantem garnizonu i miał prawo zerwać spektakl. Powód był prosty. Chruścik w skeczu pt. „Wisoki trybunał” zagrał rolę adwokata aż nazbyt realistycznie. Publiczność nagrodziła go huraganem braw i zażądała bisu, ale major dopatrzył się antysemityzmu i stąd draka.

Przedstawienie zostało zerwane, publika stanęła w naszej obronie, ale major wściekł się, wezwał wojsko i pod eskortą odprowadził nas na wartownię. Wypuścił nas jednak niezwłocznie, bo bał się szturmowi wielbicieli talentu Chruścika, którzy tłumnie gromadzili się przed koszarami. Przyjęto nas wiatami i nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się w knajpie. Fundowali nasi widzowie, a my też nie mogliśmy pozostać im dłużni. Nastąpiło zbratanie ludu z wojskiem, zawarcie dozgonnego sojuszu. Wynikiem jego była znów pusta kasa i rozpacz Dąbka, który po kielichu miał gest. Z rozpaczki otrząsnęliśmy się szybko, pocieszając się przyszłymi sukcesami kasowymi. Nieszczęsny skecz został skreślony z programu, ale mimo to ceny biletów znów poszły w górę.

Następny był Oświęcim. Mieliśmy zarezerwowaną salę, rozplakatowane afisze i wszystko przygotowane, ale do występu dla ludności cywilnej nie doszło. Major z Chrzanowa zadziałał. Mieliśmy tu swoją wojskową grupę ochraniającą demontaż oświęcimskich zakładów i tak przedstawieniem dla naszych żołnierzy zakończyliśmy artystyczną działalność na terenie województwa krakowskiego. Odwołano nas i przyznając, solidnie trzęśliśmy portkami wracając na łono macierzy bez pieniędzy i z etykietką antysemickich wystą-

pień.

Dąbek okazał się porządnym chłopem. Wziął wszystko na siebie, chociaż i mnie się sporo dostało. Straciłem chęć do podejmowania jakiegokolwiek inicjatywy i jeszcze jej nie odzyskałem. Wydaje mi się, że fakt wyładowania w tej dziurze, małym miasteczku, wiąże się jakoś z tamtym.

Listopad

Uff. Niepotrzebnie narzekałem na brak zajęcia. Lepiej nic nie robić, niż robić głupstwa. A to mi się właśnie przydarzyło. Było tak. W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca wyszperano moją skromną osobę i dano jej bojowe zadanie. Miałem jechać na czele dwóch żołnierzy do Sochaczewa i przeprowadzić tam mobilizację bydła do naszych kotłów. Pojechałem. Zameldowałem się u starosty, zgłaszając swoje i moich podwładnych usługi na rzecz tak ważnej akcji. Starosta jednak nie chciał ich przyjąć, powiadając, że ze skupem bydła da sobie radę, a wojsko nie powinno się tym zajmować. Delikatnie dał do zrozumienia, że nasza obecność w terenie nie jest ani pożądana, ani wskazana. Bydło będzie na oznaczonym miejscu za kilka dni, a my możemy spokojnie wracać do jednostki lub urządzić się tu, w Sochaczewie. Mądry chłop. Szkoda, że u nas w jednostce takich nie ma.

Przyznałem mu rację, podziękowałem i odmeldowałem się. Moi żołnierze zaatakowali mnie z miejsca na temat dalszych naszych kroków.

– Panie poruczniku – tłumaczyli jeden przez drugiego – do jednostki wracać nie ma sensu, opieprzą nas, że nie wykonujemy głupiego rozkazu. Tu siedzieć też nie ma sensu. Niech pan się gdzieś zamelinuje, a my skoczmy do domu. My som z jednej miejscowości. Wpadniemy do swoich i wrócimy, kiedy pan każe, z dokładnością do minuty. My som z Zagłębia, a u nas słowo wagę ma.

Pomyślałem – chłopcy mają rację. Uzgodniliśmy szczegóły i termin spotkania w Warszawie, na dworcu. Propozycja dogadzała i mnie. Przed miesiącem bowiem osiedliłem swoją rodzinę na Ziemiach Zachodnich i korciło mnie zobaczyć, jak oni dają tam sobie radę, tym bardziej, że osiadła tam nie cała rodzina, a tylko matka z moim bratem i siostrą. Reszta pozostała na starym miejscu. Nowe było wówczas bezludziem, a właściwie wysepką w morzu Niemców. Bałem się trochę o swoich. Santocko leży na olbrzymiej polanie wśród lasów. Osadnictwo jeszcze tam nie